

PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK VII.

Zeszyt III. Miesiąc Wrzesień 1872.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor L. Powidaj.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE

W Drukarni Leona Paszkowskiego

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1872.

<https://rcin.org.pl>

F. 7847



7847

Przegląd Literacki.

Poezye przez El...p. Tom II.

(Kraków, nakładem księgarni i wydawnictwa czytelní ludowej
A. Nowoleckiego, 1872).

Nie pamiętamy już, jak dawno zdarzyło nam się wspominać o nowych poezjach w tych naszych literackich kronikach, nie pamiętamy nawet, czy się nam to kiedy zdarzyło. Rzadko teraz wychodzą nowe poezye, rzadziej niestety wychodzą takie o których wspomnieć byłoby warto, w których pozory mniej lub więcej szczerliwie ze zmarłych poetów naśladowane, nie kryłyby najrzetelniejszej słabości myśli, ubóstwa wyobraźni i młodości uczucia. Grunt się wysilił, i zrodziwszy niedawno plon podobny do tych egipskich snopów, na które Józef kazał zawczasu budować stodoły i spichrze, po Wallenrodzie i Nieboskiej, po Irydyonie i Tadeuszu, po Przedświcie i Dziadach, po Beniowskim i Szwajcaryi, wypoczywa, a na ugorze rosną ziółka bez pożytku i zapachu, albo z opadłych ziarn dawnego zbioru zasiane wątle i chude kłosy, niby do zeszlorczonej pszenicy podobne, z tą różnicą, że ziarna w nich nie ma. Szczęście, że żniwo duchowe nie spożywa się w jednym roku, ale zostaje zapasem na wieki, a gdyby lata nieurodzaju i najdłużej wlec się miały, głodu bać się nie potrzebujemy, mamy dzięki Bogu tego „chleba anielskiego“ dosyć, i ubyc go nam już nie może.

Przecież, choć przy takich zapasach srogi przednowek straszny nam być nie może, miło być musi, jeżeli na tej naszej wyjąłowanej poetycznej niwie wyrośnie jaki kwiatek polny, skro-

mny ale prawdziwy, nie wystrzyżony z papieru, ciągnący woń i barwę z wnętrza ziemi, nie wymalowany jaskrawo a sztucznie farbą, w sklepie kupioną. Na taki kwiatek wyglądają nam poezye anonyrna, który właśnie swój drugi tom ogłosił. Nie jest to wielka poezya.... „epoka wielkiej poezyi“, mówi ze smutkiem autor życia Juliusza Słowackiego, „skończona. Wierszy nie braknie nigdy „w żadnym kraju i czasie, ale co się tycze wielkich, prawdziwych „poetów, to zamknęła się na długo złota ich księga.“ Ale jeżeli wobec sztuki, w czystym pojęciu poezyi, tylko to ma do imienia poezyi prawo, co jest wielkie, piękne i nieśmiertelne, to znowu ta mniejsza powszedniejsza poezya musi mieć jakieś prawo do bytu, a zatem usprawiedliwienie, w naturze ludzkiej, która męczy się prędko widokiem tego co wzniosłe, odwraca się od tego jak Mojżesz od gorejącego krzaku, a lubi sobie wypocząć przy tem co mniejsze, miłe, i ładne, i dlatego, choć ma zawsze Homera, Danta i Szekspira, wynajduje sobie w każdym pokoleniu nowych Lamartinów albo Tennysonów, dlatego ludzie, którzyby mogli całe życie czytać Mickiewicza, czytują Syrokomlę albo Lenartowicza. Co na tem zyskują? nie wiemy; ale muszą oni iść za jakimś instynktem czy prawem swojej natury, skoro to samo dzieje się we wszystkich sztukach. Pan Bóg stworzył Mozarta i Beethovena, a ludzie przecież co roku znajdują sobie jakąś nową romanse, jakieś „Si tu n'avais rien à me dire“ albo jakąś „Mandolinatę“, którą śpiewają wszystkie głosy, wygrywają wszystkie fortepiany i katarynki i słuchają z upodobaniem wszystkie uszy w Europie od Gibraltaru aż do Petersburga, dopóki jej z mody nie wyrzuci jaka nowa, tyle warta co i tamta. Wyrozumiałość i pobbłazanie dla natury ludzkiej, to jedna z gorzkich i najtrudniejszych nauk życia. Ona jest tak pięknie obdarzona, uposażona tak bogato, zdawałoby się, że mamy prawo żądać od niej tak wiele, żądać na przykład żeby nie lubiała, ale zawsze tylko kochała, żeby uznawała i czciła to tylko co wielkie i piękne, a ona tymczasem tak chętnie, tak łatwo na małym przestaje, jak żeby do małego tylko była stworzona i zdolna, ona tak lubi lubić, tak lubi to co ładne i drobne.... niestety, któż z nas ma prawo odmówić jej pobbłazania? chyba ten kto się sam nigdy na gorącym uczynku mierności, moralnej czy umysłowej, nie schwytał; taki może rzucić na nią kamieniem pogardy, każdy inny pobbłazania nauczyć się musi, ale nauka to smutna, bo pobbłazanie, dla siebie czy drugich, zaczyna się tam gdzie się kończy ułudne może, ale o sobie czy drugich zawsze najmiłsze, wysokie mniemanie.

Dlatego to młodość, szczęśliwa młodość, nigdy i nikomu pobbłazać nie umie.

Zostawmy więc kiedy już tak być musi, biednemu luzkiemut plemieniu jego małą poezyę, którą ono tak bardzo lubi, i powiedzmy, że pod pewnemi warunkami ona ma prawo do bytu nawe-

przed obliczem sztuki. Na Parnasie, jak na Olimpie, mogą być bogowie „minorum gentium“, byleby sobie nie rościli prawa do równości z wielkimi. Mniejsza poezya, jeżeli ma naprawdę myśl i uczucie, a nie udaje ich tylko (jak się to nieszczęściem często zdarza), jeżeli ma formę piękną i do swoich mniejszych rozmiarów harmonijnie zastosowaną, może zdobyć sobie prawo obywatelstwa w państwie Muz, i siedząc skromnie na stopniach tronu Mickiewicza lub Göthego żyć długo i szczęśliwie, jak w Olimpie żyła wdzięczna Hebe lub Flora przy tronie Jowisza, wdzięczna, bo nienadymająca się do równości z królewską Juno, niepokalaną Dianą, uroczą Wenerą lub poważną Minerwą. Ma ona zresztą dobre prawo do chwały i ludzkiej wdzięczności: któżby jej nie wybaczył wiele złego za to że wydała Musseta, ktoby miał śmiałość i barbarzyństwo podrzeć „Buch der Lieder“ Heinego? Takich jak ci dwaj wprawdzie niewielu ona wydała, i poeta prawdziwie wielki jest fenomenem nieledwie częstszym, aniżeli mniejszy takiego jak tamci talentu i wdzięku, przecież mogłaby się pochwalić większą liczbą poetów prawdziwych choć mniejszych, aniżeli ta liczba sprawiedliwych, która wystarczyć miała do uratowania Gomory od zagłady.

Poezja, o której mówić chcemy, należy niezaprzeczenie do mniejszej, przecież, w tej kategorii, należy do lepszych i szczęśliwszych. Mówiąc to, nie chcemy jej równać z Mussetem lub Heinem, których (zwłaszcza ostatniego) nieraz przypomina, ale pomiędzy temi kwiatami lirycznej poezyi, które u nas od lat dwudziestu rozwijały się, udawały że kwitły, i schły w tej samej chwili, ona odznacza się pewnym sympatycznym wdziękiem. Naprzód, ma tę zaletę największą, kardynalną, której mniejsi poeci nie mają prawie nigdy, ma prostotę. Oni zawsze się silą i sadzą: na cobądź, na wszystko, na natchnienie, na humor, na dowcip, na wyrażenia nowe i nieznanne, na pomysły filozoficzne, na wykrzykniki, na przepowiednie przyszłości; nasz anonim, szczęśliwy, nic nie udaje. Wielki, błogosławiony, a w naszych czasach tak rzadki przywilej! Czy chcemy przez to powiedzieć że jest w swoich pomysłach i formach zupełnie oryginalnym? Nie; ton i budowa jego wierszyków, często są wzięte z Musseta, częściej z Heinego, a przelane w wiersz polski widocznie, zbyt widocznie niekiedy, na Słowackim wyrobiony. W jego natchnieniach patryotycznych znajdują się nieraz uczucia i myśli te same, które się nieraz od roku 1863 czytało i słyszało. Oryginalność jaka nas czasem zastanowi w jego formie, lub w jego usposobieniu, i ta nawet naprawdę oryginalnością nie jest, bo zawsze i nieodmiennie da się odnieść jak do źródła do Słowackiego, Heinego albo Musseta. Przecież, ze wszystkich tych poetów lirycznych, którzy wśród młodszego pokolenia powstają, ten jeden myśli, ten najlepiej czuje, i ten najlepiej pisze, a kiedy mówi rzeczy niezupełnie nowe, to mówi je przynajmniej pięknym wierszem, dobrym, szcze-

śliwie utrafiłym poetycznym stylem. Co do formy, ta istotnie jest tak zgrabna i lekka, tak harmonijnie zawsze do rozmiarów i tonu przedmiotu zastosowana, że sama wystarczyłaby za dostateczny dowód talentu, a wierszom zapewniłaby wdzięk. Ale więcej aniżeli w formie polega on, naszym zdaniem, w prostocie autora. Żadnych u niego pretensyj, żadnych szumnych a pustych frazesów, żadnych zużytych wykrzykników. Dowodzi to naprzód delikatnego smaku, ale dowodzi i czegoś lepszego jeszcze, delikatności uczucia, a zwłaszcza jego prawdy. Nie trudnoby było poecie osiąść wielkiego Pegaza, zwołać wieki przed swój trybunał i sądzić historję, albo zdobyć się na jakie widzenie przyszłości: tylu to już zrobiło z pomocą Krasieńskiego i Mickiewicza! On nie: on widocznie chciał mówić to tylko co czuł i wiedział, a ta skromna wstrzemięźliwość wyszła mu na korzyść i chwałę. Czytelnik widząc go rzetelnym, szanuje go i wierzy w prawdę jego uczuć, a w jego poezyi znać że uczucie nie jest ani udane ani kłamane ani przesadzone, ale rzetelne, rzeczywiste, i czysto takie jak było w jego sercu. Jest to tak rzadkie, tak odwykłym widzieć prawdę w tem co piszą nasi najnowsi poeci, że ten który ją w sobie ma, zdobywa odrazu i napewno naszą sympatyę. Prawda uczucia, prostota w tonie, szczęśliwa absencya napuszyłości, frazesu, wszystkiego co pretensjonalne i oklepiane, do tego wiersz bardzo dzwięczny, giętki i wyrobiony, oto ujmujące zalety, które na pierwszy rzut oka w tej poezyi podobać się muszą.

Co się w niej nie podoba? Nie jeden powie, że to kaprys, i może słusznie: czujemy sami, że zarzutu tego robić nie mamy prawa, ale powiedzmy w rzadkiej chwili zupełnej szczerości, że nas trochę korci pseudonym. Nie lubimy pseudonymów: najczęściej zastania się niemi nieśmiałość, pod którą siedzi nerwowa bojaźń krytyki i odpowiedzialności, nerwowo-trwożliwa miłość własna. Wiemy dobrze że w tym przypadku tak nie jest, ale dlatego właśnie, w tym przypadku pseudonym dziwi nas bardziej jak w każdym innym. Czy zrobiłem trochę lepiej czy trochę gorzej, zrobiłem jak mogłem i umiałem najlepiej, czemuż nie mam się do swojej roboty przyznać? po co ta maska, która nigdy na długo prawdziwej twarzy nie zakryje? Zresztą, nie znając powodów, które autora do ukrywania swego nazwiska skłoniły, i szanując je zupełnie, musimy się poskarżyć na to, jakie sobie przybrał, bo pisać o niem jest bardzo trudno i niewygodnie. W języku francuskim, niemieckim, angielskim, nie byłoby tej niewygody, ale w polskim, w którym nazwiska odmieniają się przez przypadki jak proste rzeczowniki, pisać i mówić: pana Elego, panu Elemu, i tak dalej, brzmi bardzo niezgrabnie, a i tę możliwość przypadkowania chociażby niezgrabnego odejmują nieszczęśliwym recenzentom tego autora fatalne kropki, które dzielą początek pseudonymu od jego końca, i nie dają nam nawet wiedzieć napewne czy mamy do czynienia z przypadkiem pierwszym,

alboteż z drugim jakiegoś imienia, którego pierwszy przypadek kończy się na *a*. Pierwotny pseudonym autora, Jan Stożek, choć zdaniem naszym nie był bardzo ładny, był przynajmniej łatwiejszy do używania w mowie i pisaniu.

Po tych nawiasowych uwagach, do których, mamy nadzieję, nikt nas nie posądzi jakobyśmy przywiązywali wielką wagę, policzmy między słabe strony poezji pana El...y, zbyt widoczne przejęcie się innymi poetami. Już Horacy powiedział, że nie ma dla poetów nic zbawienniejszego jak wertować pilnie dobre „exemplaria“, i nie można mieć za złe nikomu, że się takich, greckich czy nowożytnych, trzyma. Ale i dobrego można nadużyć, a nadużyciem takiego wpatrywania się we wzory, wydaje nam się, jeżeli poeta swoje małe miłosne piosenki tak układa, że one miarami wiersza, a nadewszystko tonem nerwowym i zmiennym tak przypominają niektóre „Lieder“ Heinego, że czytelnik musi użyć pewnej mocy nad sobą, żeby go nie posądzić o umyślne naśladowanie. Tak samo ma się rzecz z jego humorem i ironią, która wprawdzie nigdy tak gorzka jak u Heinego, nigdy nie dochodzi do cynizmu, ale w swoim łagodniejszym tonie, zniechęceniem, rozczarowaniem, często tamtego przypomina. Na dowód przypomnimy tylko z pierwszego, dawniej ogłoszonego tomu poezji wiersz pod tytułem „Dwa spotkania“, wiersz zgrabny i dowcipny, ale tak formą i tonem do Heinego podobny, że gdyśmy go pierwszy raz czytali, zdawało nam się koniecznie że to tłómaczenie.

Spotkałem go w młodości dniach —
W objęcia moje upadł on,
I rzekł mi: „Bracie, w wspólnych snach,
Znajdziem zwycięstwo albo zgon!“

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku,
W objęcia padł: „Ach przyjacielu“
Zawołał: „chodźmy do szynku!“

Oprócz tego, nie naturalniejszego zapewne jak to, że młody poeta polski dzisiejszych czasów wyrabia sobie wiersz na wzorach Słowackiego: piękniejszego, bardziej oryginalnego wiersza, bogatszego w nowe formy i miary, w niespodziewane zwroty, nie ma podobno w naszym języku. Ale studiując go, poeci powinni by wystrzegać się jego stylu. Nie żeby był ten styl zły, owszem, przeciwnie, dlatego że jest tak wyjątkowo piękny, a przytem tak odrębny, tak pełen właściwości specyficznie swoich. Te zaś zewnętrzne cechy poetycznego stylu Słowackiego bardzo łatwo dadzą się uchwycić i powtórzyć: zdarzyło nam się nieraz czytać wiersze, w których nie było najmniejszego sensu, a które na

pozór brzmiały jak kartka wydarta z „Szwajcaryi“ lub z „Podróży na Wschód“. Ale jeżeli łatwo jest przyswoić sobie zewnętrzna stronę stylu Słowackiego, to jego piękności, jego kolorytu, jego daru opisywania albo wstrząsania sercem jeszcze nikt sobie nie przyswoił. I dlatego, naśladować jego jest tak niebezpiecznie. Poeta łatwo wymyśli coś co będzie odmienne od „kłótni słowików z kaskadą“ albo „wietrzyka z pracowaną Arachną“, ale czytelnik pozna zaraz, że choć odmienne, jest do tamtego podobne, na wzór tamtego wymyślone, a przecież nie takie jak tamto, i powie z niesmakiem, a cóż to za błada kopia! W poezjach pana El...y są całe strofy, jedne patetyczne, drugie ironiczne, które dla ucha brzmią tak jak gdyby były wyjęte z „Beniowskiego“ lub z „Podróży na Wschód“, podobnie, jak czytając niektóre wiersze Gaszyńskiego, możnaby myśleć, po dźwięku, że je pisał Mickiewicz. Ale refleksya wraca prędko, i myśl nie da się tak łatwo złudzić jak ucho, a te pozorne podobieństwo musi po rozwadze obrócić się na niekorzyść kopii, która wydałaby się o wiele piękniejszą, gdyby samowolą nie wyzywała porównania z piękniejszym od siebie oryginałem.

Gdybyśmy jeszcze dodali to, że tom tych poezyj przeczytany odrazu, zostawia po sobie wrażenie pewnej jednostajności, pomimo że autor przeplata przedmioty i o różnorodność się stara, że wszystkie wiersze miłosne między sobą, patryotyczne znowu między sobą mają bilskie podobieństwo, byłoby to już wszystko, co o nich możemy znaleźć złego do powiedzenia.

Co w nich widzimy dobrego, wspomnieliśmy już wyżej, ale niedostatecznie. Jeżeli przestrzegamy autora przed niebezpieczeństwem zbyt wyraźnego trzymania się Heinego i Słowackiego, to znowu przyznajemy chętnie, że z rodzajem swojego talentu i usposobienia, on lepszych dla siebie wzorów obrać nie mógł. Urodzony z bardzo szczęśliwą łatwością wierszowania, z muzykalnem uczuciem dźwięku i miary, trafnym instynktem wybrał on sobie wzór, na którym te wrodzone dary mógł najlepiej rozwinąć do wielkiej obfitości, różnorodności, i doskonałości form, to jest Słowackiego; a w moc swojego usposobienia uczuciowego, nerwowego, łatwego do zniechęcenia i zrażenia, cokolwiek może na sposób kobiecy delikatnego i czułego, przeznaczony na to, żeby celował raczej w drobnych niż w wielkich poetycznych formach, tym samym szczęśliwym instynktem trafił jako do wzoru do poety, który drobnemu wierszykowi, piosnce, nadał najwyższe wykończenie i doskonałość, o którym możnaby powiedzieć, że jest Horacym lub Anakreonem melancholii, romantyzmu, nerwów, „Weltschmerzu“ i sarkazmu, do Heinego. Toteż małe piosenki pana El...y, zwłaszcza miłosne, są śliczne przez swoją misterną, nadzwyczaj subtelnie wykończoną formę, a pełne wdzięku przez ton i charakter, jaki w nich panuje. Jakiś smutek stały i ciężki, któremu każde cierpienie wydaje się rzeczą tak naturalną i ko-

nieczną, że je przyjmuje bez zdziwienia, skargi i buntu; jakieś doświadczenie życia tak wielorakie, że najlepszą formułą i streszczeniem tego życia wydaje mu się smutne słowo Fausta „entsagen musst du, musst entsagen“, a tej konieczności zrzeczenia się tak się już poddał, tak do niej przywykł, że w jego rezygnacji nie ma już nawet goryczy. Przecież, choć nie ma już nadziei szczęścia ani marzenia o niem, zostało jego wspomnienie, jego znajomość, uczucie bardzo żywe i rzewne tego, czemuby życie być mogło, czemuby po prawdzie być powinno. Te dwa tony grają ciągle w tej poezji, a połączone w akord niby sprzeczny a w gruncie bardzo harmonijny, nadają tej poezji dominujący ton smutku, rzewności i tęsknoty, który tem więcej może robi wrażenia, im mniej jest głośny, im bardziej przytłumiony i spokojny. Do najładniejszych wierszy tego rodzaju, policzylibyśmy dwa z pierwszego tomu: „Szkoda“ (str. 201), i „Jedna chwilka“ (str. 211). Ale i w drugim tomie są niektóre tamtych godne. Jest naprzykład ten wierszyk, który mówi, że „Między nami nic nie było“ (str. 161), a przecież, choć nic nie było, ni zwierzenia, ni wyznania, przecież zostało między nami jakieś wspomnienie czegoś.... Jest „Uwielbienie“ (str. 187), w którym poeta przyrzeka:

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
 I nie zapomnę pod ziemią, czy w niebie,
 O twej jasności —
 Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
 Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
 Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
 Wiecznej miłości!

Jest już nie tak smutny, owszem pogodny, bardzo ładny wierszyk do „Płaczącej“:

Ty płaczesz dziewczę? łez twoich szkoda,
 Na te łzy gorzkie jeszcześ za młoda,
 Otrzyj swe oczy,
 Świat tak uroczy,
 Na niebie jasna pogoda!

Wszak najpiękniejsze z wszystkich niebianek,
 Młodość i wiosna wiją ci wianek....
 A ty w łąkach przecie
 Niedobre dziecię,
 Jak chmurny maju poranek.

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?
 Możeś się pączkiem ukłuła róży?

Lub pragniesz skrycie
Gwiazdki w błękiecie,
I nie chcesz czekać już dłużej?

Może ci wietrzyk przyniesł majowy
Szept podsłuchanej kwiatów rozmowy?...
Utuł się w żalu,
Na ust koralu
Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możesz na kogo dziś się zgniewała,
I ztąd ta chmurka przebiegła mała?
Chmurka się zmieni
W siatkę promieni,
I tęczę będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata,
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata....
Prędko się goi
Ból w piersi twojej,
Łzy schowaj na dalsze lata!

Z dłuższych wierszy, gdyby nas kto zapytał, które podobają nam się najbardziej, wybralibyśmy dwa: „Na pobojuwisku“ (str. 57), i „Pod stopy krzyża“, rodzaj spowiedzi, w której autor opowiada przeszłe burze swoich uczuć i myśli, i ich ostateczne uspokojenie. Zato wyznajemy, że mniej lubimy dwanaście sonetów „Ze sceny świata“ (str. 35), natchnionych widocznie ostatnią wojną francuską, i wiersz „Achilles i Thetis“ (str. 147) z oddziału, nad którym autor wypisał tytuł „Freska starożytna“. Naprzód, choć się maluje „al fresco“, to takie malowanie w liczbie pojedynczej po polsku nie nazywa się fresco, ale fresk, zatem w liczbie mnogiej nie mówimy freska, ale freski Rafaela, Michała Anioła i t. d. Oprócz tego, klasycznego rysunku starożytnych, pomimo widocznego usiłowania, w tym fresku dojrzeć nam się nie udało.

Jak pierwszy, tak i ten drugi tom podzielony jest na kilka grup wierszy, z których każda ma swój tytuł osobny, niektóre tytuły, jak „Kwiaty“, „Mozajka“, te same, co w tomie pierwszym. Kategorie zaś wierszy, od poważnych i patetycznych, do humorystycznych (szyderycznych lub swobodnych), także te same co w tomie pierwszym: nowością chyba jest tylko ten „Fresk starożytny“ i kilka wierszyków z „Motywów ludowych“, z których niektóre są bardzo wdzięczne i ładne, na przykład „Siwy koniu“ (str. 91), „Szumi w gaju brzezina“ (str. 92), „Bodaj owa rzeczka“ (str. 97), a nadewszystko naszym zdaniem „W chacie“ (str. 118), wiersz opisujący śmierć ubogiego starego ko-

mornika, który się cieszy, że swoim odejściem przysporzy chleba, a ujmie kłopotu dzieciom.

Podobieństwa do Heinego, do Słowackiego, takie same jak w pierwszym temie. Naprzykład, każdy czytając „Karnawałowy lament“, w którym jakaś panna, literatka, prosi poety, żeby jej napisał wiersze w albumie, bo napisał je już „Gapezykiewicz, Totumfacki“ i inni, każdy przypomni sobie tę litanję polskich bohaterów, których tak wspaniałomyślnie ponazywał Heine. Inny znów przykład w tem „Scherzo“, w którym zakochany Janek prosi księżycę żeby mu przyniósł jaką wieść od jego lubej.

Księżyc na to mruknął gniewnie:
„Nogi mi nie służą!

„A tu trzeba spacerować
I świecić latarką
Wszystkim co chcą romansować,
Księżnom czy kucharkom.“

„I tych samych klątw, uniesień,
Słuchać wciąż od ludzi
Czy to wiosna, czy to jesień,
To mnie djabło nudzi!“

„Każdy myśli z tych młodzików,
Że on tylko jeden
Pełną piersią wykrzykników
Odkrył nowy eden.“

Że on pierwszy z swoją miłą
Między gwiazdy zalażł,
I że przedtem nic nie było —
On miłość wynalazł!“

„Gdy go zdradzi ładne dziecko,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych nie ma,“

„I dziwuje się bez końca,
Utraciwszy zdrażną,
Że księżycę, gwiazdy, słońca,
Na nos mu nie spadną.“

To jest bardzo zgrabne, bardzo wesołe, ale, nie wiedzieć dlaczego, mimowolnie każe to myśleć o Heinem.

Czego powiedzieliśmy, brak jest w obu tomach, to kilku tłumaczeń. Jeden lub drugi piękniejszy „Lied“ Heinego, jeden lub drugi wiersz Musseta, nie zeszpeciłyby zbioru, a przyswoiły naszej poezji rzeczy bardzo piękne. Nie znamy zaś dziś nikogo, kto by tak był zdolny utrafić smutek i gracyę obudwóch, jak właśnie autor „Jednej chwili“, „Szkoda“, „Idź dalej“ i tylu innych pełnych smętnego wdzięku, bardzo delikatnych, misterynych wierszy. Zdaje nam się nawet, a do takiego mniemania upoważnia nas jego „Pobojowisko“ albo „Pod stopy krzyża“, że znalazłby on w swoim instrumencie tony dość energiczne, żeby oddać ponury smutek „Październikowej Nocy“, dość głębokie i przejmujące, żeby oddać „l'Espoir en Dieu“.

Kiedy się zastanowimy nad tym poetą i z prawdziwem współczuciem patrząc na jego smutek i uczucie, staramy się odgadnąć jak go kiedyś przyszłość sądzić będzie, zdaje nam się, że ona pojmie go jako produkt i wyobraziciela naszych usposobień po roku 1863, że on jej do poznania tych usposobień pomoże. Taki smutny, taki zniechęcony, tak niedowierzający sobie, tak niespokojnie oglądający się za cześć, na cześć mógłby oprzeć jakąś ufność, jakąś otuchę, a nie znajdujący tego ani w sobie, ani w otaczających, przyjaciółach czy przeciwnikach, w kraju czy po za krajem.... Człowiek, który niedawno jeszcze wierzył w zwycięstwo dobrego, w postęp ludzkości, a patrzył na zwycięstwo Rosyi, na zwycięstwo Prus nad Francją, na zwycięstwo jednej i drugiej nad sprawiedliwością, nad prawdą, nad ludzkością, człowiek w którego oczach zapadł się cały świat polityczny, a swoim upadkiem sprowadził większe jeszcze ruiny, przewrócił cały świat moralny. W cóż dalej wierzyć? W sprawiedliwość historyi?

„Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary.

„Oprócz boleści i nędzy żywota,

„Nic nie widziałem.“

W Polskę?

„Widziałem trwogę i niemoc konania,

„Widziałem duchów hańbę i upadek,

„Lecz nie widziałem nigdzie zmartwychwstania.“

W ludzkość?

„Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,

„Które na stosach palą się i świecą.

„Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,

„Wiedzą przynajmniej dlaczego tam lecą,

„I że przyjmując każdy ból i ranę,

„W piersiach anielstwo noszą nieskalane.

„Lecz gdym obaczył z kąd te wszystkie czyny

„Swoją tajemniczy początek wywodzą,

„Zkąd wyrastają ściekle krwią wawrzyny,
 „Gdzie upadają ci, co w niebo godzą,
 „I gdy, wnikać w serc zranionych ciemność,
 „Za każdym bólem znalazłem nikczemność,
 „Natenczas miłość stała się podobną
 „Do nienawiści.“

A w tem zachwianiu wszystkich wiar, ufności i zasad, czy można przynajmniej polegać na sobie?

„Wszystkie pragnienia nędzne, brudne, liche,
 „Co kłamią tylko pozór wyższej cnoty,
 „Olbrzymią nicość i olbrzymią pychę
 „Znalazłem na dnie swej własnej istoty,
 „I tak swe serce rozpoznawszy chore,
 „Straciłem w sobie ostatnią podpórę.“

Obraz jest wierny. Tak czuło, tak myślało, tak patrzyło na świat po roku 1863 i 1871, wszystko co w Polsce nie było świętym lub bydlęciem; każdy się z tym stanem duszy krył, bo każdy czuł że on jest zły, demoralizujący, zaraźliwy, każdy więc udawał jak mógł że w nim nie jest, ale był w nim każdy, kto tylko czuć i myśleć umiał. I dlatego nie pomyli się potomność, jeżeli tego poetę uzna za reprezentanta lat po 63cim, jeżeli jego poezję wyłomaczy sobie ogólnym stanem zwątpienia we wszystko, jeżeli ze stanu jego duszy będzie chciała odgadnąć uczucie i usposobienie pobitego narodu.

Ale nietylko pod względem uczuć jest ta poezya dobrem naszym zwierciadłem: odbija ona jeszcze i ten stan przejścia, ten zwrot wyobrażeń, w jakim się właśnie znajdujemy. Straszna nauka roku 63go przesiąka pomału coraz głębiej, i rozlewa się coraz szerzej. Dziś już mało jest takich, którzyby nie wiedzieli, że niedość jest chcieć się poświęcić za ojczyznę, ale trzeba się poświęcić skutecznie i w porę, mało takich, którzy powstanie bez broni i pieniędzy, nazwaliby zasługą a nie nieszczęściem. Najtrudniej zapewne było uznać prawdę tej nauki temu młodszemu pokoleniu, do którego należy poeta, ale on ją uznał. Oto wierze, które położył na czele swojego drugiego tomu:

Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
 Co rdzeń spruchniały w wątły kwiat ubiera,
 Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
 Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń,
 Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
 Lecz tę, co w grobach czeka dni przebudzeń,
 I przechowuje oręż i przyłbicę.

Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!... nie tę tchnącą szałem,
Która na oślepi leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem,
Przeciwnie losy stałością zwycięża.

Ale obok tego, choć już przekonani, że pomału tylko, stopniowym wzrostem sił, zatem rozumem i rozważnym postępowaniem możemy podnieść się z upadku, mamy jeszcze zdawna zakorzenioną pogardę dla tak zwanego „rozumu stanu“, kiedy nam mówić o koniecznościach położenia, nie chcemy rozumieć i podejrzewany dotąd pod pozorami owego rozumu stanu, osobiste widoki, chciwość orderów albo pieniędzy. Czyby tak było w Królestwie lub na Litwie przekonać się nie mamy sposobności, ale w Galicyi było ich aż za wiele i tu wątpliwości nie ma żadnej. Dość przypomnieć te wszystkie „zdrady i odstępstwa idei polskiej“ popełnione przez sejm, przez delegację, przez mnóstwo pojedynczych ludzi, zdrady nieustające, zdrada w stanie chronicznym, popełniana dla osobistych widoków pod pozorem politycznej konieczności, gdyby kto wierzyć chciał naszym dziennikom. Nasz poeta musi im jeszcze wierzyć, skoro strofą i tonem z Beniowskiiego.... wziętym, tak mówi:

„Ten rozum stanu wynalazek złoty!
„Lepszy niż jaki płaszcz nieprzemakalny,
„Pod nim bezpiecznie można szydzić z cnoty
„I podkopywać przesąd idealny,
„Można ojczyźnie różne czynić psoty
„I łuk w nagrodę dostać tryumfalny
„Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność
„Wszelki egoizm, wszelką niedorzeczność!

Albo znowu, wiemy, że rok 63 był nieszczęściem, wiemy że powinniśmy mieć odwagę, nie tą

tchnącą szałem
która na oślepi leci bez oręża,

przecież, kiedy nam to kto powie, przekreślamy jego słowa, udajemy żeśmy je źle zrozumieli i wyrzucamy mu, że bluźni, że ojczyznę zdradza, a w najlepszym razie jej nie kocha. I to, że nieprzekreślenie umyślne, ale mimowolne, ze zwyczaju, fałszywe a bardzo niesprawiedliwe pojęcie rzeczy, jest u naszego poety:

„Miłość ojczyzny, ta dziś pustym dźwiękiem
 „Co nie brzmi wcale albo brzmi szaleństwem.
 „Nasi mężowie śpiąc na łożu miękkim
 „Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem
 „Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
 „I obrzucają swój naród przekleństwem
 „Za to że śmiał się targnąć na kajdany
 „I drgnął na chwilę własną krwią obłany.“

Zdarza się także często słyszeć, lub czytać, (w lwowskim *Dzienniku Polskim* naprzykład) zużyty i oklepany okólnik, jakoby kościół katolicki potępiał miłość ojczyzny, a przynajmniej mniej polskiej. Kiedy tak piszą niektóre dzienniki, wiedzą wszyscy a one najlepiej, dla czego to czynią. Ze zdziwieniem znaleźliśmy echo tych głosów w Poezyach o których mówimy: ale i to, jedno z bieżących naszych wyobrażeń w nich się znalazło:

„Miłość ojczyzny? to przedmiot zużyty
 „I pogrzebany z poległym rycerstwem:
 „Starannie w trumnie gwoździami przybity
 „I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem:
 „A nad nim kłęczy postać Jezuity
 „Co umarłego gorszy się kacerstwem
 „I lud poucza, że modna pobożność
 „Tę ziemską miłość uważa za zdrożność.“

Naprzód, w jakim to katechizmie i „pod stopami jakiego krzyża „uczono autora o tej zdrożności? a powtóre, nie jesteśmy z Towarzystwa Jezusowego, ale doprawdy pojąć nam trudno, że choćby tylko dobry smak, jeżeli nie coś więcej, szlachetne i polskie jego uczucie, nie ostrzegły autora, że dziś rzucać na Jezuitów kamieniem czy błotem, to jest wtórować Bismarkowi, *Nowej Presie* i *Dziennikowi Polskiemu*? Do takiego towarzystwa przecież poeta za dobry, i musielibyśmy bardzo się dziwić, gdyby pomiarkowawszy że w niem jest, nie doznał choć trochę nieprzyjemnego uczucia.

Dość, że w tych wierszach znalazłby się poetyczny komentarz do wielu naszych dzisiejszych wyobrażeń i sprzeczności i z tego względu będą one kiedyś nawet historycznie ciekawe i nauczające.

Że poeta jest nieco niesprawiedliwy, nie można zaprzeczyć. Oto naprzykład, kiedy się skarży, że otaczające społeczeństwo nie dostarcza poetom żywiołu do natchnienia, w co zresztą łatwo wierzymy, tak mówi, jak żeby już nic dobrego koło siebie nie znał i nie widział, i tak:

„Nasze anioły i nasze kobiety
 „Są w sentymenta ubrane po kostki
 „Lubią poezję zjadać na wety
 „I lubią także bawić się w miłostki,
 „Któżby wyliczył ich wszystkie zalety?
 „Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki:
 „Prawdy w uczuciu. Lecz to rzecz zbyteczna,
 „Nie modna dzisiaj, nawet niebezpieczna.

Cóż na takie słowa odpowiedzieć? Żałować chyba tego, kto się tak myli i dziękować Bogu, że on się myli, że zbyt czarno na świat patrzy. A jemu życzyć, żeby to usposobienie było przemijającym nie stałem. Musi to być okropnie nie widzieć koło siebie nic dobrego, ani miłości ojczyzny, ani prawdy w uczuciach... szczęśliwi ci, którzy do takiego zwątpienia nie doszli.

Czy ono jest nieuniknionem? zdaje się, że nie. Naprzód, tak nisko jeszcze nasz świat polski nie upadł, powtóre, pomiedzy wszystkimi rodzajami odwagi, jakie nam poeta mieć zaleca, potrzebaby położyć odwagę nie rozpaczania i widzenia rzeczy jak są, a nie gorzej. Konieczności takiego zwątpienia nie widzimy, ale powody jego pojmujemy dobrze, rozumiemy, że stan ten który jest, w naturze bardzo wrażliwej i nerwowej może takie spowodować skutki. Mamy też wszelkie współczucie dla zniechęcenia tego poety, a dla jego smutku wszelkie uszanowanie. Smutek to głęboki i ciężki, zwątpienie ogólne, we wszystko, nawet w poezję.

„I przyznać musim, że nasz chór harfowy
 „I nasza nóta szpitalno-cerkiewna
 „Z całym przyborem schorzałej fantazyi
 „Jest dziś najgorszym rodzajem inwazyi.

„Znamy swą niemoc, węża co nas dławi
 „I opasuje w swe skręty potworne,
 „Znamy ten obłęd co nas zwolna trawi
 „I z piersi dźwięki dobywa niesforne.
 „Wiemy, że śmieszni jesteśmy choć łzawi,
 „I tak bezkształtni jako mgły wieczorne.

Trudno nam wyobrazić sobie większego w życiu nieszczęścia jak niewiara w to co ma być treścią naszego życia i powołania. Mieć jakiś zawód, a myśleć, że on, a przynajmniej człowiek w nim, nie przyda się na nic, musi to być tortura tak nieznosna że dziwić się tylko trzeba jak człowiek wytrzymać w niej może, i nie znajdzie w sobie dość energii, żeby sobie albo wiarę w siebie i w swój zawód wyrobił, albo go porzucił. Ale i w tem może jest poeta wizerunkiem naszych lat i usposobień. Nieufność

do tego co się robi, ciągła wątpliwość, czy się to przyda i na co, to także jedna z naszych dzisiejszych chorób, jedna z cech wszystkich naszych czynności, prawodawczych, administracyjnych i różnych innych i ta wąpiąca w siebie poezya, podobna jest do naszych Towarzystw, do naszych Rad powiatowych, do naszego sejmu.....

Co do poezyi, to jej upadek, przypisuje autor naszemu dzisiejszemu społeczeństwu. W wierszu „Publiczność i Poeci“ z którego właśnie przytoczyliśmy dłuższe wyjątki, mówi on że

„to jest nasze największe przekleństwo
„Otaczające nas dziś społeczeństwo.

„Trudno wymagać by na takiej roli
„Wytrysła natchnień prawdziwa obfitość,
„Trudno gieniuszu żądać aureoli
„Tu gdzie się tuczy sama pospolitość....
„Trudno ach! żądać dziś Anakreona
„Kiedy świat cały na bezkrwistość kona.

„Potrzeba śmiać się, więc na równi z wami
„I razem z wami nad przepaścią płasć,
„Potrzeba kryć się ze swojemi łzami
„I z własnych uczuć głośno się natrzasać,
„Karmić się codzien skandalem, plotkami
„Różować twarze i przechodniów kąsać
„Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
„Potrzeba śmiać się, śmiać się... i umierać.

„Jeśli nas teraz potępić pragniecie
„Za naszą niemoc, nasze niedołęztwo
„Za rozrzucone poetyczne śmiecie
„Za skoszlawione pieśni czarnoksiężtwa,
„Godzim się na to, potępcie gdy chcecie,
„Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięztwo,
„Lecz tą rozważcie smutną okoliczność:
„Tacy poeci, jaka jest publiczność.“

Jakie społeczeństwo, tacy poeci; zapewne może to być prawdą, a że nasze nie jest dziś po temu, żeby wydawać ludzi genialnych i natchnionych, nie możemy niestety zaprzeczyć. Przecież zwałć na ogół winę niemocy poetów i rozrzuconego „poetycznego śmiecia“ to wydaje nam się znowu niesprawiedliwem. Niemocy tej wskazałibyśmy powody inne, bliższe i prostsze. Ten mianowicie, że nigdy i nigdzie wielcy ludzie, w jakimkolwiek zawodzie, zatem i wielcy poeci, nie rodzą się jedni po drugich nieprzerwanym szeregiem, a wiek, który wydał w jednym kraju

Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, uczynił doprawdy dośyć i może na tem poprzestać: w każdym razie trudno, by mógł sobie pochlebiać, że zdobędzie się na więcej jeszcze takich jak tamci. Ale na szczęście wielcy mistrze, wielcy poeci, jeżeli rzadko się rodzą, to za to nie umierają, to co oni stworzyli zostaje, trwa i wystarcza na długo, tak że pokolenia następne, które z jakiegobądź powodu nowych poetów nie wydają, przecież mają wielką poezję, mają ten „chleb anielski“ i nim się karmią. Ma go i nasza „publiczność“ i doprawdy cenić i czuć go umie. Nie jest ona tak czarna jak ją malują, nie każe wcale „z uczuć się natrząsać i deptać, poniewierać wszystko co szlachetne,“ tak złą ona nie jest. Nikt jej widział, żeby się natrząsała z uczuć Mickiewicza albo Krasińskiego, deptała pana Tadeusza, poniewierała Dziady. Kiedy jej zarzucają obojętność dla piękności, chłód, materjalizm, miałyby prawo w odpowiedzi zapytać: „czego odemnie chcecie? Ja mam to co wieczne i nieśmiertelnie piękne, w to się wpatruję i na tem przestaję. Jeżeli ktoś „niedołężną“ ręką „rozsywał koło mnie śmiecie,“ cóż ja temu winna? Ani o to prosiłam, anim tego potrzebowałam, a mnie wystawiać jako przyczynę niezręcznej roboty, której ani przeszkodzić ani pomódz nie mogłam, to znaczy zwać na mnie część odpowiedzialności, żeby swoją zmniejszyć.“ To miałyby prawo odpowiedzieć publiczność poetom, którzy się na nią skarżą, gdyby dyalog zaczęty przez poetę El...y miał ciąg dalszy. Jeżeli publiczność temu winna, że poeci źle piszą, to przynajmniej temu nie winna, że piszą. Ona ich o to nie prosiła, ona ma poetów którzy jej wystarczają, których czei i kocha, nowych, a gorszych od tamtych nie wzywa, jeżeli im się podoba śpiewem swoim „kaleczyć pieśni czarnoksiężtwo“ czynią to z własnej ochoty, ale i na własną odpowiedzialność.

Słowa te odnoszą się do pana El...y o tyle tylko, o ile są odpowiedzią na niesprawiedliwy zarzut, zresztą, ostrze ich, zwrócone jest przeciw poetom „niedołężnym i rozsypującym poetyczne śmiecie“ którzyby lepiej zrobili, gdyby swojej roboty zaprzestali, jego niedosięga. On owszem niech pisze. Jest on rozgoryczony, zniechęcony, nerwowy, przez to czasem niesprawiedliwy, to prawda. Ale on na prawdę czuje, na prawdę cierpi, na prawdę kocha, na prawdę tęskni, on ma rzetelność i prostotę w duszy, wdzięk w słowie, artystyczną maestrię w wierszu, to dość praw i tytułów, dość darów szlachetnych. Nie dość zapewne, żeby być Mickiewiczem lub nawet Słowackim, nie dość żeby być wielkim, ale wystarczająco, żeby być sympatycznym poetą o szlachetnym sercu i pięknym talencie. Owszem w tych czasach poetycznej posuchy, jego poezya jest szczęśliwym wyjątkiem i bardzo pocieszającym dowodem, że nieurodzaj nie jest zupełny.

Stanisław Tarnowski.

7847

F. 7847